№ 3. Warszawa, 22 Stycznia 1909 roku. Rok II.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15 Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy k. 20. Za zmianę adresu—20 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administr. Żórawia 29, m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po kop. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7 — prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU.

Bankructwo p. Dmowskiego.
Kata śmierci (odcinek).
Na widnokręgu politycznym.
Kremacja i krematorjum.
Echa.
Emerytury robotnicze we Francji i Australji.
Szerzenie kultury.
Z Filharmonji.
Z teatru.
Kronika.
Zmarli.
Odpowiedzi Redakcji.
Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy. (ark. 2).

BANKRUCTWO p. DMOWSKIEGO.

Zdarzył się fakt doniosłości społecznej. Piszę społecznej, gdyż politycznej ważności w stosunku do właściwej polityki wewnętrznej Państwa nie posiada prawie żadnej: z areny trzeciej Dumy ustępuje p. Roman Dmowski, nieograniczony dotychczas rozkazodawca Koła Polskiego o wielce przytępionych jedynastu... zębach.

Abdykuje więc z zajmowanego stanowiska człowiek, który, urodziwszy się tylko Dmowskim, chciał w Polsce rolę conajmniej Bismarcka odgrywać. Naśladował go też na punkcie nie tyle bystrości i mądrości politycznej, ile nadmiernej żądzy władzy i niczem nie hamowanego siania demoralizacyi wśród szerokich warstw społecznych. Trząsł wszystkiem i wszystkimi, to też słusznie jedno z pism galicyjskich kreowało go... na króla Romana.

Cztery lata temu zjechał z Krakowa na bruk warszawski i zajął dominujące stanowisko w komitecie swojej partji. Za czasów pobytu w Galicyi był przedewszystkiem ideologiem partji, w Warszawie stał się odrazu wielce czynnym działaczem, którego każde słowo było wprost wyrocznią dla zwykłych narodowo-demokratycznych śmiertelników. Po rozwiązaniu Dumy Państwowej pierwszego powołania, partja przeprowadziła jego kandydaturę do 2 Dumy. Jakich środków się imał p. Dmowski, jaką, dzięki nim, atmosferę wytworzył w mieście, wszystko to w dostatecznym stopniu pamiętamy. Butnie obwieszczał wówczas o swej pogardzie dla wszystkiego, co etyczne i ludzkie, przechwalał się przelewaniem krwi bratniej. Wcześniej jeszcze, w tajemnicy przed narodem, zmawiał się z hr. Wittem, ówczesnym prezesem ministrów, proponując mu za miskę wodnistej soczewicy zduszenie anarchji krajowemi siłami.

W 2 Dumie stanowisko polityczne p. Dmowskiego wobec znacznej przewagi lewicy, musiało być takiem, jakiem było, t. zn. mniej więcej znośnem. Zdobywało się wówczas Koło Polskie na leciuchne uderzenia w „czynów stal“. Lecz zgoła w innem świetle przedstawia się jego działalność w 3-ej Dumie. P. Dmowski jechał wtedy już nie przy dźwiękach hucznych fanfar swej wymowy, poręczającej wszystkim niechybne zwycięstwo i realne zdobycze, lecz obiecywał tylko, że obmyśli na miejscu, t. zn. w Petersburgu, plan działania. I plan ten stał się w krótkim czasie aż nazbyt widocznym. Polityczne słowne credo, słowna platforma zastąpione zostały w zupełności przez suchotniczy czyn. Systematycznie nie poruszano spraw specjalnie polskich, milczano o potrzebach i nienormalnych warunkach kraju. Ani razu nie zaprotestowano przeciw status quo, ani razu nie interpelowano rządu w kwestji zamknięcia Macierzy, tego prawego dziecięcia nar. demokracji, zawieszenia szkół polskich i innych instytucji oświatowych. Powstrzymując się od zabierania głosu w sprawach kulturalnych, dotyczących całego Państwa (bo oznaczałoby to jakoby mięszanie się do nie swoich rzeczy). Koło stale i planowo popierało wszystkie projekty prawodawcze, zmierzające do wzmocnienia czynników reakcyjnych. Rozpisywano sią w podwładnych mu organach o zupełnem zindywidualizowaniu działalności Koła, o szkodliwości zawierania jakichkolwiek paktów z partjami rosyjskiemi, ale tymczasowo strzeżono tej pseudo-niezależności tylko w stosunku do lewicy: ku centrnm i prawicy wyciągano dłoń, szczodrze szafując na ich korzyść polskimi głosami. Chodziło się na wspólne kolacyjki do Cubat'a i „Miedwiedia“, brało się udział we wszelkich festynach, jakie urządzała podwójna prawica dumska: właściwa i Październikowcy, albowiem tego wymagała podobno polska... racja stanu.

Taką politykę krańcowej służalczości poprowadził p. Dmowski, który marzył ongi o niepodległej Polsce. Zdystansował też ugodowców, gdyż rok temu chyba i oni nie posunęliby się tak gwałtownie na prawo. Poprzednie buńczuczne zapewnienia poszły w kąt: zapomniano o nich i wysunięto na ich miejsce wygodniejsze i dostępniejsze idealiki.

Lecz, jak o tem dobrze wiemy, i te zawiodły. P. Dmowski sięgał po ochłapy, lecz pomimo tej iście dziewiczej skromności nie sądzone mu było dostać nawet ogryzionej kości. Odczuło to w dostatecznym stopniu „społeczeństwo" króla Romana i zasklepiło się w apatji i zobojętnieniu. Zapanował sceptycyzm, pesymizm, bezład, niechęć i głuchy żal; nastąpił rozłam partyjny.

Zrozumiał to nakoniec p. Dmowski. On, który każdym ruchem i gestem wykrzykiwał głośno: „aprés nous le deluge", zrozumiał, iż tak dalej być nie może, i oto... wskutek nadwątlonego zdrowia postanowił zrzec się mandatu.

Nie będziemy na tem miejscu wyliczać p. Dmowskiemu wszystkich jego plusów i minusów. Wystarczy, jeśli zaznaczymy, iż człowiek ten, bądźcobądź zdolny i wykształcony, dzięki swej pysze, bucie i krańcowej, nie znającej cugli chęci usamodzielnienia się i uzależnienia wszystkiego od siebie, pod koniec swej karjery wkroczył na bezdroża, na których zaprzepaścić się musiał wraz ze swem stronnictwem. Ten, który głosił wieczystą rozwagę i trzeźwość polityczną, współczesny Sulla w swej ojczyźnie, nieudolny zaś Fabjusz Kunktator w Dumie, padł, jak długi, na rumowiska potężnej do niedawna partji. Słusznie też ta czuje żal do człowieka, który, prowadząc ją wciąż na nici bezgranicznej wiary w swe posłannictwo, działał samozwańczo w imieniu narodu, z gestem samouwielbienia brał odpowiedzialność za nadawany polityce polskiej kierunek i za losy społeczeństwa, ażeby pod koniec tak haniebnie wycofać się z walczących szeregów. Cały naród czuć będzie doń żal, gdyż on to sprawił, iż wszystkie postępowe żywioły rosyjskie odsunęły się od sprawy polskiej z niechęcią, która długo trwać będzie, i że na społeczeństwo polskie ze strony tajemnych sojuszników p. Dmowskiego bezkarnie sypały się wciąż plwociny czarnosecinnych wymyślań, urągań i oskarżeń.

Takim jest bilans zasług p. Dmowskiego. Spuścizna, jaką po sobie zostawi, jest zatrważająco smutna. Nie reagując na żadne przejawy wzmagającej się wciąż reakcji, tem samem popierał ją; odstępując ideowo z właściwej placówki nar demokracji, wkroczył samowolnie na tory *ugody*, którą kiedyś tak wyklinał.

I to są te zdobycze polityczne p. Dmowskiego, po które tak buńczucznie i hucznie wyjeżdżał do Petersburga!.. Nie lepszym jest i cały stan delegacji polskiej, który w spadku pozostawi swym następcom. A tymi, jak głosi fama, mają być realiści, primo voto ugodowcy.

Zachodzi w tem, zdaje się, nieporozumienie. Rezygnacja p. Dmowskiego dobitnie świadczy, iż dotychczasowa jego polityka była błędną i nie mogła wydać jakichkolwiek pomyślnych rezultatów. Gdyby uznawał, iż stanowisko polityczne, jakie zajął, jest trafne, nie wycofywałby się ze swej poselskiej roli, nie rozmyślałby nad tem, komu (?) oddać mandat. Ustąpienie jego jest dobitnem przyznaniem się do nieudolności i do błędnego kierunku, jaki nadał swej polityce. A kierownictwo to za podstawę miało nie właściwy program narodowo demokratyczny, a najzwyklejszą pod słońcem ugodę. Jak wiemy, nie doprowadziła ona do niczego, nie dała żadnych realnych korzyści. Dlaczegóż teraz mieliby ją kontynuować realiści, b. ugodowcy, w ręce których ma przejść spadek po p. Dmowskim? W inny sposób poprowadzić spraw nie mogą, gdyż dotychczasowy kierunek w zupełności poglądom ich odpowiada, jest kością

KARA ŚMIERCI.

Było ich dwuch, związanych wspólnym losem.

Było ich więcej, były ich setki i tysiące, lecz tym razem było ich dwuch.

Obaj skazani na śmierć za zamach na wysokiego dygnitarza.

Wyrok już zatwierdzony. Musiał być zatwierdzony. Został zabity wysoki dygnitarz...

Jeden ze skazańców długi, chudy, o twarzy bladej, znękanej całorocznem więzieniem.

Drugi—dwudziestoletni młodzieniec—z pewną ogładą umysłową i towarzyską, usiłuje być zdeterminowanym.

Przyszedł do nich adwokat. Prosili o to bardzo podczas sprawy.

— Jak już nie będzie żadnej nadziei, niech pan przyjdzie do nas i osobiście nam to powie...

Weszli do pokoju widzeń i jedno bystre, zaczajone spojrzenie, rzucone w oczy obrońcy, powiedziało im wszystko.

Zapanowało milczenie. Adwokat chciał, chciał szczerze być dla nich dobrym, chciał przejąć się ich stanem, przynieść im możliwą ulgę.

Bał się jednak odezwać. Bał się, że brzmienie jego głosu nie dostroi się do chwili, że głos wyrazi sztucznie maskowaną suchość, zamiast serdecznego odczucia i zbratania się z mękami gwałtu przeciw naturze.

— Czy dziś?...—zapytał inteligient.

— Tak, dzisiaj... lecz... jeszcze nie napewno... poślemy telegram do Petersburga... może wstrzymają...

Nie wierzyli już temu. Czuli kłamstwo w słowach adwokata, któremu się zdawało, że należy cios łagodzić, i łagodził go rozumem, nie sercem.

— Panie Topolski!.. Czy pan nie ma czego do powiedzenia swoim krewnym, znajomym lub przyjaciołom. Może pan ma jaką ostatnią wolę, którą pan życzy sobie zakomunikować ludziom na wolności?..

— Tak, panie, mam. Chciałbym, żeby się znalazł człowiek, któryby żonę moją zamordował, jak sukę!.. To, proszę pana, wszystko, co mam światu powiedzieć!..

Ożeniłem się z nią, jak była kochanką złodzieja pobytowego, pozbawionego praw.

Żyłem z nią parę miesięcy i ludzie mi powiedzieli, że się zwąchała z nim nanowo. Nie wierzyłem. Zacząłem śledzić i zmiarkowałem, że chodzi z nim na widzenia w Pawiaku, gdzie odbywał znów karę za świeżą kradzież...

Stłukłem mordę, jak się należało i zacząłem pilnować...

Kobiety nie ustrzeże. Znów się z nim zmamrała na dobre.

Byłem im niepotrzebny, przeszkadzałem im, trzeba mnie było usunąć. Postanowili tak widać.

I oto usunęli. Z więzienia wyszło przeciwko mnie oskarżenie. Szpicle więzienni, którzy mnie nigdy na oczy nie widzieli, byli świadkami przeciwko mnie.

z kości ich programu politycznego. Czyż zmiana osób, zmiana szyldu partyjnego, a nie samego kierunku politycznego będzie wystarczającą, podczas gdy treść polityki pozostanie ta sama? Kryzys, który się wytworzył w łonie delegacji, oznacza upadek programu p. Dmowskiego, upadek programu ugody. Dlaczegóż więc mandat poselski przejść ma w ręce realistów? Czyż ci wbrew swoim ideałom i celom, mogą inną drogą poprowadzić nawę polityki polskiej w Dumie?...

Takie pytania zadać sobie musi każda logicznie myśląca jednostka.

Bolesław Rozstański.

NA WIDOKRĘGU POLITYCZNYM.

Wilhelm II zwrócił się do jenerałów. Naród odmówił zaufania do jego rządów — zdawałoby się tedy, że cofnie się do swego gabinetu i odda ster władzy w ręce ministrów, aliści Wilhelm II nie rezygnuje. Powstają przed nim najwidoczniej obrazy przeszłości, kiedy to młody wówczas monarcha gestem brutalnym ale silnym usunął od władzy wszechpotężnego kanclerza—Bismarka. I zwycięsca żelaznego kanclerza zyskał sympatję swego narodu, albowiem *vae victis!* Dziś został on zwyciężony przez kanclerza blaszanego i zdaje mu się, że aby odzyskać utracone zaufanie i popularność, musi on zwyciężyć, zwyciężyć za wszelką cenę i gwoli temu zwycięstwu odwołuje się do „swojej" armji, do „swoich" jenerałów. To najnowsze wystąpienie cesarza niemieckiego powinno mieć skutek wprost odwrotny, jeśli tylko liberalizm niemiecki nie wysunie nowego saltomortale politycznego. Posiada ono bowiem o wiele większe znaczenie wewnętrzno-polityczne, aniżeli znakomity interwiew, ogłoszony w „Daily Telegraph" —wobec znaczenia wewnętrzno-politycznego bledną nawet takie twierdzenia, jak to, że wszystkie państwa, z wyjątkiem Austrji, są wrogami Niemiec, że Anglja (o której przyjaźni mówił Wilhelm w interwiewie) jest najgłówniejszym ich wrogiem, że „sprzymierzone Włochy" nie mogą być uważane za sojusznika. Widzimy tu tylko powtórzenie tych samych wojowniczych nut i otwartego przyznania, że polityka rządów wilhelmowskich sprowadziła Niemcy na skraj przepaści, że dobrobyt i pokój 60 miljonowego narodu zagrożony jest—jeśli nie przez urojonych lub prawdziwych wrogów, to stanowczo przez rządy monarchy absolutystycznego, tworzącego sobie wrogów tam, gdzie ich niema. Ale o całe niebo ważniejsze jest znaczenie tego wystąpienia dla polityki wewnętrznej. Odwołanie się do jenerałów dowodzi bowiem, że Wilhelm II nie myśli rezygnować z absolutystycznej władzy. Ostra krytyka w parlamencie, naganka w prasie, intrygi zakulisowe kanclerza z blokiem stronnictw parlamentarnych—wszystkie te pociski, które miały zamknąć cesarzowi drogę do władzy, odbiły się o mur jego ambicji i na słowa odpowiedział on brutalną siłą, gdy mu zabroniono być kanclerzem, został on naczelnym wodzem wojsk i, utraciwszy zaufanie ludu, odwołał się do zaufania armji. Jak wiadomo, jenerałowie nie odmówili zaufania... I cóż teraz? Czy liberalizm niemiecki będzie w dalszym ciągu rzucał na szalę wydarzeń wypłowiałe frazezy, czy też nareszcie zrozumie naukę i odpowie czynem?...

Clemenceau zwyciężył. Takie jest zdanie prasy radykalnej i należy przyznać, że odniósł on prawdziwe zwycięstwo. Mamy na myśli ostatnie wybory cząstkowe do senatu. w których wyszła znaczna część człon-

---

— Więc pan myśli, że ona, pańska żona, chciała pana zaprowadzić na szubienicę?...

— To, to nie. Niewygodny im byłem i ona chciała się mnie pozbyć na jakiś czas — na rok albo na dwa— i dlatego podbechtała jego, a resztę on już sam dorobił.

— Dobrze, panie Topolski, spełnię, co pan sobie życzysz — skłamał po raz drugi adwokat — a poza tem, czy nic pan nie ma do zlecenia?...

— Nie, panie. Nie mam, komu? Matka stara. Zemrze niedługo, bo sił już nie ma. Rodziny nijakiej...

— A przyjaciele pańscy?...

— Nie mam żadnych przyjaciół... Noc mnie zrodziła, noc dzisiejsza mnie zabierze...

Jak kamień w wodę... Nawet tych kręgów na wodzie nie będzie...

— Czy pan będzie żądał księdza?

— A po co—wtrącił się drugi skazaniec, dosyć będzie i tak urzędników przy egzekucji... Jeszcze jednego więcej nie potrzeba... Pociechy chrześcijańskiej wiele nam nie udzieli, bo i jemu niewiele płacą za wizytę do nas...

Adwokat począł się żegnać ze skazańcami. Zmusił się do pocałowania z każdym w oba policzki. Pocałunki były soczyste...

Skazańcy odprowadzili go wzrokiem do drzwi. Wtem dozorca więzienny zakomunikował, że żona Topolskiego przyszła na widzenie do męża.

Było to jej pierwsze i ostatnie widzenie z mężem w więzieniu.

Z histerycznym krzykiem rzuciła się do niego, rozpływała się we łzach, łkała najżałośniej w świecie.

— Antoś mój... Antoś... najserdeczniejszy mój... gdzie to ciebie zaprowadzili... i t. d.

Adwokat wszedł do sąsiedniego pokoju i, zamiast odejść z turmy, czekał na koniec rozmowy między mężem i żoną.

Przez drzwi dolatywały go spazmy pani Topolskiej.

Po piętnastu minutach, gdy rozmowa wedle regulaminu powinna być na ukończeniu, wszedł znów do pokoju widzeń i głośno zapytał się:

— Panie Topolski!.. Czy teraz ostatniego swego zlecenia pan nie cofa?...

Skazaniec stał wyprostowany, blady, wielkopańsko sztywny; pot spływał mu z czoła.

— Nie, panie, nie cofam...

Adwokat wyszedł. Za sobą usłyszał krzyk Topolskiego:

— Panie obrońco!.. Niech ją tam... Niech pan zapomni o tem, co panu mówiłem... Niech pan całkiem zapomni...

— A pani—zawołał ostro do klęczącej u stóp jego żony—niech sobie precz idzie i niech cię moje oczy nie widzą!..

— — — — — — — — — — — — —

Adwokatowi, gdy jechał dorożką do domu, stanęły w oczach dwie konfirmacje wyroków: wyroku sądowego nad Topolskim i wyroku Topolskiego nad „żoną."

nów stronnictwa radykalnego. Wybory do senatu odbywają się na podstawie głosowania pośredniego — wybierają radcy departamentalni, gminni i miejscy—przeważnie ludzie w polityce przyjmujący czynny udział. Jeśli poszli oni tym razem za wskazówkami rządu (prefekci wywierają wpływ na przebieg wyborów) i wybrali senatorów wskazanych przez rząd, to nie jest to przypadek — znać owszem, że polityka rządu znajduje ich zupełną aprobatę. A to, jeśli pominąć kilka wypadków, gdzie przeciwko kandydatom opozycji bardziej radykalnej zastosowano wszystkie środki korupcji wyborczej, jeśli pominąć przeforsowanie do senatu, jako kandydatów rządowych, dwuch wsteczników, których Clemenceau za wszelką cenę chciał wyrzucić z Izby niższej — jest to zwycięstwo rządów Clemenceau. Czegoż dowodzi to zwycięstwo, dokonane pod hasłem walki nietylko z prawicą, ale i z lewicą? Dowodzi to przedewszystkiem, że elementy zachowawcze i wsteczne, przekonawszy się, że nie zdołają się uporać z połączonemi siłami proletarjatu i demokracji, abdykowały na rzecz rządu, który dał im dowody swej energji zachowawczej, swej zdolności ofiar przeciwko rewindykacjom proletarjatu. Zwycięstwo to tedy pociąga za sobą dla radykalizmu zobowiązanie do polityki konserwatyzmu społecznego i z tej sytuacji nie wyjdzie on bynajmniej zwycięsko, natomiast wypadnie ona nadzwyczaj korzystnie dla proletarjatu. Istotnie po ostatnich wyborach radykalizm stał się władcą jedynym i niepodzielnym Francji. W pałacu prezydenta, w ministerjach, w senacie i w izbie—wszędzie posiada on swoich i tylko swoich ludzi. W ten sposób stają przeciwko sobie dwie klasy: klasa proletarjuszy wydziedziczonych miasta i wsi, walcząca o przyszłość i klasa demokracji mieszczańskiej—klasa posiadająca władzę w teraźniejszości. Spadły ostatnie opary, osłaniające i utrudniające postęp; atmosfera polityczna jest czysta, jak łza — rząd nie ma już wrogów na prawicy i może śmiało i bez obawy przeprowadzić reformy, zdobywając przyjaciół na lewicy. Radykali muszą teraz przeprowadzić wszystkie reformy społeczne, zapowiedziane w ich programie, albo cynicznie zaprzeczyć swej istocie, przyznać się do bankructwa i przekazać wobec demokracji dzieło reform w ręce proletarjatu. Dlatego sytuacja obecna powinna bądź co bądź przynieść owoc proletarjatowi.

A wieczorem dnia tego adwokat, że to była sobota—dzień przedświąteczny—poszedł do café-chantan'u.

W café-chantan'ie były wcale ładne i dowcipne rzeczy. O godzinie pierwszej był punkt kulminacyjny zabawy. I adwokat się bawił. Bawili się także doktorzy, inżynierowie, bankierzy, bawili się inni adwokaci, więc bawił się i ten adwokat..

I podczas zabawy przypomniał sobie inną noc—z przed roku, czy z przed dwuch—gdy przeżywał myślą mękę konania pierwszego ze swoich klijentów, skazanego na karę śmierci.

W ciemnym pokoju swego mieszkania, wstrząsany co chwila dreszczami naturalnego protestu nerwów, z oczyma utkwionemi w zegarek — odprowadzał skazańca na miejsce kaźni, drżał i tracił przytomność razem z nim, z nim razem żałował świata pięknego, powietrza i słońca, wstępował z nim na pomost, odczuwał wkładanie mu na głowę kołpaku, pętlicy na szyję... i odczuwał łamanie się w nim samym żelaznych krat, które wzniosła wielowiekowa kultura ku nietykalności życia ludzkiego, ku poszanowaniu tego życia.

I zrozumiał, że dziś — po kilku czy kilkunastu wyrokach śmierci — owych krat w nich już niema i niema ich w tych wszystkich, którzy bliżej lub dalej stykają się z wyrokami śmierci.

Bolesław Szyszkowski.

Amerykańskie sądy wobec organizacji robotniczych coraz brutalniej zaczynają się zachowywać. Widać, że i tam w tym szczęśliwym kraju harmonji społecznej coś się psuć zaczyna. Związek zawodowy metalowców ogłosił bojkot fabryki pieców, przeciwko któremu fabryka ta odwołała się do sądu, żądając zakazania bojkotu. Gdy sąd (w r. 1907) wydał rozkaz skreślenia tej firmy z liczby fabryk bojkotowanych przez związek, Gompers, przywódca ruchu robotniczego, odmówił wykonania wyroku i bojkot trwał dalej. Przywódcom organizacji wytoczono proces i pozostawiono ich na wolności jedynie za wysokiemi kaucjami. Obecnie wyrok zapadł. Gompers, ów znakomity filar stronnictwa demokratycznego i prezes organizacji robotniczych, skazany został na 1 rok więzienia, niemniej znakomity wiceprezes Mitchel—na 9 miesięcy, a sekretarz Marrison—na 6 miesięcy. Sędzia, przed ogłoszeniem wyroku, wygłosił dwugodzinną mowę, w której uwidocznił olbrzymią presję, wywieraną przez dwumiljonową potęgę organizacji robotniczych na fabrykantów. Oskarżeni winni jakoby są: 1) sprzysiężanie celem zrywania umów między fabrykantami a robotnikami (sic!), 2) pozbawienia mienia powodów, 3) szkodzenia handlowi pomiędzy poszczególnemi Stanami. Najwięcej oburzało sąd to, że Gompers nie przyznał się do winy i mówił o swoich słusznych prawach. W konkluzji sąd stwierdza, że zachowanie się oskarżonych podkopuje istnienie państwa burżuazyjnego i panowanie prawa (!). Sąd musi orzec, czy prawo ma zapanować, czy też ma być rzucone pod nogi mącącej porządek hołocie.

No, jeśli Gompers burzy państwo i gwałci prawo, to, doprawdy, koniec świata. Gompers i Mitchel kilkadziesiąt lat pracują nad dostosowaniem organizacji robotniczych do istniejącego stanu rzeczy, napisali tomy o „pokoju społecznym," o „demokracji przemysłowej" — i oto sąd rzuca im w twarz to oskarżenie, którem oni zwykli się posługiwać w walce ze swemi przeciwnikami o dążeniach wywrotowych. Niedawno temu Roosewelt chciał koniecznie zaprowadzić niewinnych przywódców organizacji robotniczych na szafot, obecnie sąd posyła ich do więzienia.

Almar.

KREMACJA i KREMATORJUM.

Powszechnie przyjętym u nas zwyczajem grzebie się trupy w mogiłach, na Zachodzie jednak coraz więcej rozpowszechnia się palenie trupów, czyli *kremacja*, w specjalnych, ad hoc zbudowanych budynkach, *krematorjach*.

Wobec aktualnego znaczenia tej sprawy, przyjrzyjmy się jej nieco bliżej.

Kremację i konieczność budowania i rozpowszechniania krematorjów zrodziły się na skutek licznych i poważnych braków współczesnych cmentarzy.

Negatywnego szkodliwego znaczenia cmentarzy dowodzą fakty trojakiego rodzaju: są to fakty natury 1) ekonomicznej, 2) lokalnej i 3) sanitarnej.

Pod względem ekonomicznym nabycie miejsca na cmentarzu, kupno trumny i odpowiednie ubranie zwłok i katafalku, ceremonje pogrzebowe, wystawienie nagrobka—połączone jest z znacznemi kosztami, na które może sobie pozwolić rodzina bogata w nielicznych wypad-

kach, średnio zamożna; zaś biedacy, oprócz zbieranych składek, muszą często sprzedawać najniezbędniejsze sprzęty na koszty pogrzebu. Śmierć wśród klasy biednej, wyrobniczej (a nawet mieszczańskiej) rujnuje często rodzinę, na przeciąg kilku lat. Ileż to razy robociarz sprzedaje zimową porą, podczas silnych mrozów, mniej niż skromną pościel swoją i wierzchnie okrycie (nie zastawi w lombardzie, bo ten nie przyjmie, a jeśli przyjmie, to da tyle, że nigdy na pogrzeb nie wystarczy), byle tylko spełnić ostatni obowiązek względem ukochanej istoty [1]).

Pod względem lokalnym ujemna strona cmentarzy polega na tem, że zajmują one olbrzymie obszary ziemi, które perjodycznie, co pewien czas muszą być zmieniane na nowe, jeszcze obszerniejsze, albowiem wraz z wzrostem ludności, który u nas stale jest konstatowany, wzrasta również w naturalnej proporcji i śmiertelność mieszkańców; z tego wynika konieczność ciągłego, systematycznego rozszerzania cmentarzy i to wpływa w znacznej mierze na tak nieporządane uszczuplenie terytorjum miasta, co znów ze swojej strony staje się jedną z przyczyn niebywałej u nas drożyzny mieszkań, a jak *obecnie, już nie drożyzny*, lecz poprostu absolutnego ich braku.

W końcu dochodzi do tego, że cmentarze w granicach miasta wcale znajdować się nie mogą, muszą znajdować się poza miastem, przynajmniej o kilka wiorst; z powodu zaś złej u nas komunikacji, obejmującej przeważnie centrum miasta, dostęp do nich jest znakomicie utrudniony i połączony ze znacznemi kosztami i stratą czasu. Odległość cmentarzy wpływa również na powiększenie kosztów pogrzebu, nagrobka, utrudnia odwiedzanie grobów etc. Wiadomo, że niektóre osoby po śmierci drogiej i blizkiej istoty czują się tak zgnębione i złamane bólem, że jedyne ukojenie cierpień znajdują na mogile istoty utraconej. Osobiście znam matkę, która po śmierci córki, by wprost nie oszaleć z bólu, odwiedzała codziennie grób jej przesiadując na mogile nieraz do północy. Dla osób takich znaczna odległość cmentarza staje się tem dotkliwszą.

Z kolei przechodzimy do następnego, podstawowego zarzutu, dotyczącego współczesnych cmentarzy, ich szkodliwości pod względem hygieniczno-sanitarnym.

Niebezpieczeństwo cmentarzy, z tego punktu widzenia istnieje w trzech kierunkach:

1) przez zanieczyszczanie ziemi
2) przez zanieczyszczanie wody
3) przez zanieczyszczanie powietrza.

Zaznaczymy nasamprzód, że rozkład i gnicie trupów—według danych naukowych—trwa minimalnie 7—9 lat (u dzieci 4—5 lat), co już samo przez się jest dostatecznem do wywołania chorobotwórczych własności w tych trzech żywiołach. Chorzy, zmarli na różne choroby zaraźliwe, biorą ze sobą do grobu i patogienetyczne mikroorganizmy (laseczniki i tuberkuliczne, przecinkowce choleryczne i t. p.), które wspaniale hodują się w wilgotnym gruncie i tem samem zanieczyszczają ziemię. Woda deszczowa i podziemna przechodzi przez mogiły [2]), obmywa trupy i przedostaje się do studni, skąd czerpana jest do picia; w ten sposób zaraza, szczególniej podczas epidemji, szerzy się w zastraszający sposób, pochłaniając kolosalne liczby ofiar. Dowody tego mieliśmy podczas epidemji cholery w Hamburgu, kiedy to straszna ta choroba zabierała codziennie setki ofiar, a nie można było dojść przyczyny tego fatalnego zjawiska. Dopiero przypadek pozwolił odkryć bakterje choleryczne w wodzie, której używano do picia i w której poprzednio myto bieliznę chorego na cholerę. Że bakterje chorób zakaźnych mogą długo przebywać w ziemi, nie tracąc bynajmniej swojej żywotności i zjadliwości, i że bakterji takich nie znajdujemy zupełnie dopiero na głębokości 5-ciu metrów—dowodzą badania bakterjologów. Dr. Hornowski [1]) na potwierdzenie powyższych słów przytacza wyniki badań Schotteliusa, który z płuca człowieka pogrzebanego w ziemi wyhodował bakterje gruźlicze po upływie $2\frac{1}{2}$ lat, Petri — lasecznika węglika po upływie 5-ciu lat, Pasteur zaś przytacza przykłady, że grabarze chorowali na wąglik, grzebiąc w ziemi, gdzie przed dwunastu laty był pochowany trup człowieka, zmarłego na tę chorobę. Dowodzenia tegoż Pasteur'a wskazują na zanieczyszczenie powietrza przez robactwo i dżdżownice, które wynoszą z głębi ziemi na jej powierzchnię różne bakterje patogienetyczne, nieraz powodujące wybuch epidemji i stale zanieczyszczające powietrze Takie powietrze wpływa na zmniejszenie zdrowotności i zwiększenie śmiertelności nietylko pośród mieszkańców okolic cmentarnych, lecz często i daleko poza ich granicami.

Dodamy jeszcze, że wobec niewypełniania całego szeregu przepisów, opracowanych dla cmentarzy, celem możliwego zobojętnienia ich negatywnych skutków, jako też niestosowania grobów o określonej głębokości, wymaganej przez profilaktykę, wobec nieusuwania mieszkań ludzkich z obrębu cmentarza, wobec niestosowania określonej odległości jednego grobu od drugiego, wobec używania wilgotnego gruntu na terytorjum cmentarne, wobec powtórnego użytkowania grobu przed upływem minimalnie określonej liczby lat, wreszcie, wobec całego szeregu nadużyć, gwałcących najelementarniejsze wymagania medycyny, prawa, hygjeny, estetyki i etyki, wobec uzurpowania przez zarządy i gminy cmentarne władzy autokratycznej i despotycznej i ich impertynenckiego i ignorującego stanowiska względem słusznych wymagań społeczeństwa, powtarzamy, wobec tych i wielu innych jeszcze ujemnych danych—istnienie cmentarzy nie daje się uzasadnić niczem wobec nauki i praktyki.

II.

Wyraz **kremacja** oznacza palenie, w szczególności zaś, palenie ciał, trupów w specjalnych budynkach, t. zw. krematorjach. Krematorjum jest to właściwie piec, w którym zwłoki zostają niszczone przy nadzwyczaj wysokiej temperaturze (wyżej 1000° C.), tak, że pozostają tylko mineralne części składowe, stanowiące popiół.

Punktem wyjścia dla palenia zwłok były względy czysto lokalne: w miejscowościach, obfitujących w lasy—trupy zwykle palono, w miejscowościach bezleśnych — grzebano w ziemi. Dlatego właśnie wśród narodów skandynawskich i u starożytnych Germanów — zwłoki przeważnie palono; naodwrót, wśród narodów wschodnich, Asyryjczyków, Babilończyków, Egipcjan, Żydów — zwłoki przeważnie grzebano, i tylko królowie, książęta i wielcy bohaterowie narodowi dostępowali zaszczytu palenia na stosie. U wielu narodów wschodnich i połudnowych palenie zwłok było uważane za symbol nieśmiertelności duszy i towarzyszyły mu wielkie uroczystości narodowe.

Opisy Homera świadczą, że i w starożytnej Grecji rozpowszechnionym był zwyczaj kremacji. Homer opisuje śmierć Patroklesa, którego—dla tem większego za-

[1]) Gmina żydowska, czyli Zarząd cmentarza żydowskiego, jest pod tym względem (i z wielu jeszcze innych względów) szczególnie barbarzyńskim. Pomijając już to, że uchodzące za bogate rodziny zmusza Gmina Żydowska do ofiar z kilkunastu tysięcy rubli, — z nędzarzy zamożni członkowie Gminy, rekrutujący się z „poważnych" obywateli miasta, zdzierają ile się tylko da, targując się à la przekupka z za Żelaznej Bramy, po kilka dni. To samo powtarza się przy wykupywaniu pozwolenia na postawienie pomnika. Za te pieniądze, zdobywane kosztem łez ludzkich, mamy na cmentarzu eleganckie i kosztowne galeryjki (nb. do niczego nie podobne) wykwintne meble i t. p. Wszystko to urąga obfitym brudom i nieporządkom, tak rozpanoszonym na cmentarzu żydowskim.

[2]) Na cmentarzu zydowskim obskurantyzm rabiniczny zabrania chować trupy w trumnach; kładzie się je więc na gołej ziemi, przykrywa deskami i zasypuje piaskiem. Już pierwsza woda, obmywająca trupa, w stanie jest zarazić okolicznych mieszkańców.

[1]) „Zdrowie" Nr. 10 (1907): „O krematorjach"

szczytu — spalono razem z jeńcami, podobnie jak w Indjach, żony radżów—na znak wierności—płonęły na stosach wraz z małżonkami.

Dopiero w okresie Chrystjanizmu, wraz z wiarą w przyszłe życie pozagrobowe i zmartwychwstanie, oraz z szacunkiem dla ciała, w którem zamieszkiwała nieśmiertelna dusza – wszędzie, gdzie tylko Kościół katolicki panowanie swe utwierdził — zniesiono zwyczaj kremacji; Kościół zostawił sobie tylko prawo palenia na stosie heretyków i odszczepieńców, nie zgadzających się z „nieomylnemi“ i „świętemi“ dogmatami Kościoła [1]).

Tak więc Kościół katolicki *nie palił trupów*, lecz—ad maiorem Dei gloriam—*palił żywych!..*

Pomimo jednak surowego zakazu, od czasu do czasu odbywały się masowe palenia ciał zmarłych, jak w r. 1495 po bitwie pod Fornoro, w r. 1509 i 1576 w Wenecji, podczas panowania dżumy, w r. 1627 w Anglji po trzęsieniu ziemi i t. p.

Lecz z postępem czasu, z rozwojem nauki, szczególniej zaś techniki i hygjeny, poczęto przekonywać się o konieczności wprowadzenia kremacji. Jednym z pierwszych, którzy zrozumieli doniosłe znaczenie kremacji, był Fryderyk Wielki, który pozostawił zlecenie, aby trup jego był spalonym. Ale życzeniu jego nie stało się zadość. Takiem samem niepowodzeniem skończyły się próby za Rzeczypospolitej Francuskiej, co do zupełnego zamknięcia cmentarzy i wprowadzenia na ich miejsce krematorjów. Bez żadnego wrażenia przeszło również spalenie angielskiego poety Shelleya i naukowe wystąpienia profesorów: Grimma i Truzena, pierwszych, którzy zbadali kwestję naukowo i wszechstronnie.

Dopiero, dzięki nowym odkryciom naukowym w dziedzinie etjologji i bakterjologji, kiedy drogą eksperymentalną przekonano się, że różne mikroby i zarazki najlepiej zniszczyć można przy wysokiej temperaturze, oraz kiedy dzięki zdobyczom techniki, udało się stos zamienić sui generis specjalnym piecem, gdzie miast ginąć w płomieniach, trup rozkładał się w rozżarzonem powietrzu, nie stykając się wcale z ogniem,—dopiero wówczas odezwały się liczniejsze głosy, przychylne paleniu, dopiero wówczas zakrzątnięto się energiczniej około tej sprawy, wynikiem czego było wzniesienie w Medjolanie pierwszego w Europie krematorjum, w którem po raz pierwszy za zgodą i wolą rodziny dnia 22 stycznia 1876 r. spalono pierwsze zwłoki ludzkie.

S. Auerbach.

(D. n.).

---

[1]) Dla bardzo wymownej ilustracji pozwolę sobie przytocvyć kilka liczb; oto na zasadzie wyroków św. Inkwizycji skazano na śmierć (przeważnie przez spalenie) *wszystkich Holendrów*, z wyjątkiem imiennie oznaczonych i w skutek tego w jednym tylko miesiącu lutym r. 1568 stracono *25000 osób*. W tej samej Holandji za panowania Karola V skazano ni mniej, ni więcej, tylko *100000 heretyków*. W Anglji, za panowania Henryka VIII, stracono *72000 osób*, przy cesarz. Elżbiecie *89000 osób* i t. d. i t. d.

ECHA.

DWIE MIARY.

16 b. m. wypłacano w Łodzi doroczną gratyfikację urzędnikom wszystkich oddziałów kolei Fabryczno-Łódzkiej. Urzędnicy otrzymali od 18 do 30 rubli, podczas, gdy naczelnicy wydziałów pobrali po 600 do 2000 rb., a więc mniej więcej połowę pensji Ten system praktykowany jest nietylko na kolei Fabryczno-Łódzkiej; na kolei Warsz.-Wied. gratyfikacja wynosi zwykle: dla urzędników 4% od pensji, dla naczelników 10%; cyfrowo wypada to tak, że naczelnicy biorą 10 razy tyle, co pracownicy.

Dwie miary, stosowane przy wypłacie gratyfikacji, były u nas prawem zwyczajowem do r. 1905, spowodowane strajkami przewartościowanie pracy naprawiło tę krzywdę, wyrządzaną pracownikom; uchwalono wypłacać gratyfikację według *jednej* zmiany. Tak było przez dwa lata. Już w r. 1907 jednak przepis ten poszedł w zapomnienie. Obecnie, jak widzimy, dawne dwie miary uzyskały ponownie prawo obywatelstwa.

ORGJE MAGISTRATU.

Wychodzące w Warszawie od kilku dni pismo rosyjskie „Warszawskoje Echo“ umieszcza korespondencje z Petersburga następującej treści:

„Wykryte przez prasę polską nadużycia w gospodarce magistratu warszawskiego stanowią przedmiot najżywszego zainteresowania we wszystkich urzędach centralnych Petersburga.

Naczelnicy wszystkich wydziałów otrzymali już od swoich podwładnych urzędów w Warszawie szczegółowe raporty i wyjaśnienia, w jakim stopniu przedstawiciele ich brali udział w sprawach gospodarstwa miejskiego w Warszawie, a w szczególności w nabyciu przez miasto lasku młocińskiego za sumę, wielokrotnie przewyższającą jego wartość rzeczywistą.

Sprawą tą specjalnie się interesuje prezes rady ministrów Stołypin, który ma już cały materjał w swych rękach.

Ukończenie śledztwa sądowego w tej sprawie oczekują tu z wielką niecierpliwością. Przeważa zdanie, że odkrycia magistrackie powinny bezwarunkowo przyśpieszyć rozpoznanie i wprowadzenie w życie projektu samorządu miejskiego w Warszawie. Przewidują nawet możliwość interpelacji w Dumie, o ile wyniki śledztwa sądowego dadzą dostateczny dla niej materjał.“

Tymczasem jednak nie słychać o tem śledztwie. „Goniec“ zaś po dłuższej przerwie zabrał się znowu do spraw magistrackich. Tym razem chodzi o „Powązki,“ gdzie gospodarka magistracka nie zatraca cech jej właściwych, a więc oszczędza się na ubraniu, opale i zarobkach służby cmentarnej, a zaoszczędzone fundusze wydaje w sposób nie tyle produkcyjny dla miasta, ile korzystny dla urzędników magistratu i ojców miasta, którzy nie zrażeni śledztwem w sprawie młocińskiej, gospodarują po staremu. W gospodarce tej nie zatrzymują się nawet przed profanacją zwłok; oto co pisze „Goniec:“

„Jedna z pracownic twierdzi, że widziała na własne oczy, jak „wykopano 10 nieboszczyków, których ciała wyrzucono z trumien; jedne ciała zakopywano głębiej, a drugie, świeższe, wywożono razem z trumnami i zakopywano w t. zw. „rzymskiej kwaterze“ pod parkanem.“ Robione to jest dlatego, że właściciel sąsiednich grobów dał łapówkę; w ten sposób rozszerza się grób, by mieć możność grzebania nieboszczyków.

Bywają jednak i gorsze rzeczy: przy kopaniu grobów wyrzucają na powierzchnię ziemi kości nieboszczyków; dawniej ziemię tę wywożono do lasku lub na drogi; zbierały się gromady psów i włóczyły kości po okolicy. Obecnie jest lepiej, bo kości zostają na cmentarzu.

Zato praktykowany jest inny, równie miły zwyczaj, znany pod techniczną nazwą „skracania“ trumien. Zwyczaj ten polega na tem, że jeżeli właścicielowi grobu murowanego podoba się mieć więcej miejsca, to—oczy-

wiście — za odpowiednią opłatą urzędnik cmentarniany nakazuje „uciąć kawał trumny dlatego, żeby grób sąsiedni rozszerzyć i wymurować piwnicę.“ Zdarzają się przy tej sposobności takie wypadki, że razem z trumną odlatują *głowy nieboszczyków.*

Jak widzimy, urzędnicy dozoru cmentarnianego pozazdrościli honoru innym funkcjonarjuszom: na umarłych wprawdzie tylko, ale egzekucja się odbywa tak samo.

Cóż na to wszystko opinja publiczna?

Prasa milczy po dawnemu; zajęta jest opisywaniem różnych żółtych, zielonych i pomarańczowych balów; instytucje, do których należą oskarżeni o nadużycia urzędnicy magistratu (a przedewszystkiem naczelnik kancelarji p. Wł. Ślaski, członek Stowarzyszenia Techników i członek Polskiego Zjednoczenia Postępowego)—również nie dają znaku życia.

Czy można się więc dziwić, że w takiej atmosferze gruboskórności, oskarżeni nie tracą na duchu i nie ustępują z placówek, na których im tak wygodnie?

„ROBOTNICY“ CHRZEŚCJAŃCY PRZY PRACY.

P. Kosiakiewicz, chwalca Demokracji Chrześcjańskiej i jej podobnych kwiatków, zachwaszczających naszą niwę społeczną, zdaje w *„Słowie“* sprawę ze stanu kooperatyw wytwórczych robotników chrześcjańskich.

Jak wiadomo, stowarzyszenia współdzielcze tego typu dawno już zostały potępione przez teorję i praktykę w krajach, wyżej od naszego stojących pod względem uspołecznienia, demokratyzmu i rozwoju wytwórczości.

Przyznaje to sam pan Kosiakiewicz, mówiąc, że „z praktyki współdzielczej wiadomą jest rzeczą, iż zrzeszenia wytwórcze najmniej się udają z całego szeregu typów kooperatywnej działalności.“ Mimo tego, nie gani patronów stowarzyszeń robotników chrześcjańskich (księży), że „nie tamują ochoty do nich tam, gdzie się z większą energją obudzi,“ jak gdyby właśnie nie było prostym obowiązkiem kierowników Demokracji Chrześcjańskiej, ludzi, którzy bądź co bądź wiedzą choć cokolwiek o losach współdzielczości wytwórczej za granicą, ostrzegać nieuświadomionego robotnika przed próbami samopocy, prowadzącemi bądź do marnowania sił i na brzuchach dzieci zaoszczędzonego grosza, bądź też do kucia nowego oręża wyzysku wobec najbardziej wydziedziczonych jednostek z klasy robotniczej.

P. K. przytacza niewiele przykładów współdzielczych stowarzyszeń wytwórczych, zatrzymując się głównie na tych, które się robotnikom chrześcjańskim „udały“ (?), a i tu—„w Tomaszowie Rawskim sparzyli się na współdzielczych warstatach tkackich“... pierwszy bilans „Szewca“ wykazał 222 rb. strat... interesy Koła kwiaciarek idą oporem“... O powodzeniu Spółki kapeluszników, której „sprawozdanie mowi, iż bilans wykazał znaczne zyski ale liczb nie wymienia,“ godzi się także wątpić.

Natomiast tam, gdzie się istotnie udało, jest jeszcze gorzej, bo wynik pomyślny oparty został na złamaniu solidarności robotniczej, na znieprawieniu jednostki ludzkiej właśnie przez spółkę wytwórczą, która siłą rzeczy zresztą, aby módz istnieć, przestała być tem, czem stać się miała w założeniu.

Nie może utaić tego i p. K. „Oto tkacze łódzcy—mówi – zawiązani we współdzielcze zrzeszenie wytwórcze, zmuszeni powiększyć siły robocze, nowych robotników przyjmują na podstawie umowy zwykłej, a nie kooperatywnej. Ta spółka więc, najlepiej prosperująca ze wszystkich pokrewnych, już odbyła znamienną ewolucję, którą ze współdzielczej zamienia ją na akcyjną, a więc na kapitalistyczną.“

Quod erat do powiedzenia.

Podkreślmy jeszcze od siebie, czego nie podkreśla p. K. Oto „warsztaty tkackie w Łodzi... zamieniły się na poważną fabrykę, o dużym obrocie, *noc i dzień pracującą.“* Pozwalamy sobie wątpić, aby trzymano się tam systemu trzech zmian, skąd wniosek, że nasi pjonierzy stali się nietylko fabrykantami, lecz i fabrykantami *wyzyskującemi.* Mimowolną chyba ironję wyraził p. K., mówiąc, że w dziedzinie współdzielczości wytwórczej przykład tkaczów łódzkich „od zupełnego pesymizmu broni robotników chrześcjańskich.“

W każdym razie pewne jest, że księża, narzucający się na „patronów“ naszej klasie pracującej, są doradcami albo niedołężnemi, albo niesumiennemi.

Co—gorsze, nie wiemy, ale tak czy owak: *Hands off!*

W. W-ski.

NA ROZSTAJNYCH DROGACH.

„Głos Warszawski“ z d. 17 b. m. powtarza za „Przeglądem Narodowym“ artykuł, który ma charakteryzować obecny stan sprawy polskiej w państwie rosyjskiem. Czytamy tam:

„Czynniki sprzeczne, oddziaływające na politykę rosyjską w sprawie polskiej w kierunkach rozbieżnych, w chwili obecnej równoważą się niemal zupełnie, lecz jest to równowaga niestała. Stan dzisiejszy tej sprawy dłużej w miejscu pozostać nie może, musi się przechylić w tym lub innym kierunku, ale w każdym razie w kierunku zmian nie zasadniczych: bądź ulg nieznacznych, bądź nieznacznych również ukróceń i ograniczeń. Tymczasem obie ewentualności są równie możliwe i równie prawdopodobne, ale szala przechyli się niewątpliwie w krótkim czasie na tę, czy tamtą stronę. Pod kątem widzenia polityki wewnętrznej dalsze reformy w państwie muszą wejść na drogę albo stałego i systematycznego usuwania potrzeb żywiołów obconarodowych, albo uwzględniania choćby tylko specjalnie potrzeb żywiołu polskiego, które najsilniej wysuwają się na porządek dzienny. Pod kątem widzenia polityki zewnętrznej—dalszy jej kierunek iść musi albo z polakami, albo przeciwko nim; *tertium non datur.“*

Te, pełne zastrzeżeń, ogólniki, które mają charakteryzować „stan sprawy polskiej,“ są jeszcze niedołężniejsze od przepowiedni meteorologicznych naszych gazet, w których stale czytamy: „radzimy wziąć palto i kalosze.“ Najzabawniejszem jest to, że niedołężne ogólniki te wycisnął ze swej głowy endecki mąż stanu, aby usprawiedliwić obecną taktykę Koła Polskiego, pisze bowiem:

„Obowiązkiem społeczeństwa polskiego wespół z jego przedstawicielstwem jest uczynić, co do niego należy i co jest w jego mocy, żeby droga, którą pójdzie polity-

ka, nie była drogą groźną i zgubną dla naszych interesów narodowych.“

Jakiż sens ma wobec takiego postawienia sprawy ustąpienie tego, kto był wynalazcą tej właśnie taktyki, tej p. Romana Dmowskiego?

A może to, co jest *już* jasne dla p, Dmowskiego, nie przeniknęło *jeszcze* do mózgów naszych polityków i publicystów narodowo-demokratycznych?

Odezwa Tow. kursów naukowych. Zarząd Tow. Wyższych Kursów Naukowych wystosował odezwę o poparcie dla instytucji, z której korzysta obecnie około 1,200 osób płci obojej, przybyłych z całego kraju w celu uzupełnienia swego wykształcenia.

Wnoszona przez słuchaczów opłata za korzystanie z wykładów zaledwie wystarcza na bardzo skromne wynagrodzenie wykładających (których na wszystkich wydziałach jest obecnie 58), inne zaś wydatki: utrzymanie kancelarji, wynajem odpowiednich lokali, urządzenie i utrzymanie bibljotek i pracowni naukowych, pokrywane są ze składek członków Towarzystwa, jak dotąd bardzo niedostatecznych. Wobec wielkich i coraz bardziej rosnących potrzeb z tej strony, dalszy rozwój, a nawet i samo istnienie Kursów naukowych zależne jest w zupełności od poparcia, jakiego im zechce udzielić społeczeństwo polskie.

Kursy naukowe z jednej strony gromadzą z całego kraju młodzież, pragnącą się kształcić w języku ojczystym, a nie posiadającą środków na wyjazd do wyższych szkół polskich, oraz umożliwiają kształcanie się tym osobom, dla których wskutek wieku lub innych okoliczności wszystkie zakłady naukowe są i będą zamknięte,— z drugiej zaś strony dają możność publicznego wypowiadania się naszym uczonym, którzy — przy zmianie warunków — będą stanowili gotowe kadry profesorskie dla polskiego uniwersytetu i politechniki w Warszawie.

Z tych względów podtrzymanie Towarzystwa Kursów naukowych jest obowiązkiem każdego miłującego swój kraj i oczekującego lepszej dla niego przyszłości obywatela.

EMERYTURY ROBOTNICZE WE FRANCJI i AUSTRALJI.

Francuskie prawodawstwo społeczne lat ostatnich ujawnia działalność gorączkową, dotąd zresztą tylko w sferze omawiania, a nie stosowania prawodawstwa robotniczego.

Z projektów praw, złożonych izbie deputowanych przez ministerjum pracy, najciekawszym zapewne dla naszych czytelników będzie projekt prawa o emeryturach dla robotników, prawo to bowiem jest dalszem logicznem rozwinięciem zasad państwowego ubezpieczenia robotników na wypadek choroby i od wypadków nieszczęśliwych, będącego obecnie na porządku dziennym obrad w kołach robotniczych z powodu złożenia Dumie odnośnych projektów praw.

Pierwszą prawodawczą próbą zabezpieczenia starości robotników był projekt prawa, złożony zgromadzeniu narodowemu w r. 1849 przez posła Lestibudoyera. Projekt ten odrzucono na tej zasadzie, że „te projekty można ogarnąć wyobraźnią, niepodobna ich jednak wcielić w życie.“

W 30 lat potem ten sam los spotkał podobny projekt posła Nadeaux'a, podpisany, pomiędzy innemi, przez obecnego prezesa ministrów Clemenceau.

Wzrost organizacji robotniczych, powolny, lecz nieustanny rozwój demokratyzacji kraju, i wreszcie przykład Niemiec, które w r. 1889 wprowadziły po ubezpieczeniach na wypadek choroby i wypadków nieszczęśliwych, także i ubezpieczenie na wypadek niedołęstwa i starości, doprowadził do pewnej, że się tak wyrazimy, spekulacji prawem o ubezpieczeniu robotników na wypadek starości: każdy poseł jakiejkolwiek partji w swych odezwach wyborczych obiecywał, oprócz ogromnej ilości innych praw, domagać się prawa o emeryturach dla robotników. Wystarczy zaznaczyć, że w czasie od r. 1889 do 1902 złożono izbie posłów 34 różne projekty tego prawa.

Oczywiście robione to było tylko w tym celu, aby pozyskać głosy robotników; skoro cel został osiągnięty, o obietnicach zapominano. Najszczęśliwszy był poseł Tuerce, który w r. 1893 złożył izbie projekt prawa według wzoru niemieckiego—o obowiązkowem ubezpieczaniu. Projekt doznał nieprzychylnego przyjęcia, został jednak w r. 1901 złożony ponownie przez Milleranda; izba przystąpiła do omawiania projektu i przyjęła już pierwszy paragraf; gdy na wniosek jednego z posłów klerykalnych uchwalono wstrzymać się z dalszem omawianiem paragrafów tego prawa do czasu wyjaśnienia wyników ankiety, zwróconej do przemysłowców i robotników.

Dopiero 22 listopada r. 1904 izba posłów przystąpiła ponownie do omawiania projektu tego i po długich rozprawach, które zajęły 40 posiedzeń, d. 23 lutego r. 1906 prawo to uchwaliła. Obecnie radykalny rząd Rzeczypospolitej usiłuje przeprowadzić to prawo przez senat, gdzie napotyka ono silną opozycję wobec tego, iż wymaga znacznych ofiar ze strony państwa.

Zasady nowego prawa są następujące:

Każdy robotnik obowiązany jest wpłacać 2% swej płacy zarobkowej, przedsiębiorca zaś ze swej strony wpłaca drugie tyle. Państwo dopłaca brakującą kwotę do minimalnej emerytury, wynoszącej 360 franków. Robotnicy, zarabiający mniej, niż frank 50 centimów dziennie, składek nie płacą. Robotnicy, po dojściu do 60 roku życia, pobierają emeryturę zwiększoną. Starcy, którzy w chwili ogłoszenia prawa o emeryturach, mają już lat 60, pobierają z sum skarbowych emeryturę w kwocie 120 franków rocznie. Robotnicy, którzy w chwili ogłoszenia prawa, mieć będą od 35 do 59 lat, pobierać będą: po dojściu do 60 roku życia przez pierwsze 5 lat — po 120 franków, przez następne 5 po 148 i t. d., aż dojdą do legalnego minimum, wynoszącego 360 franków. „Emerytalna kasa narodowa“ obejmuje kasy poszczególnych departamentów. Zarząd kas tych spoczywać będzie w ręku komitetów specjalnych, złożonych w równej liczbie z przedstawicieli państwa, przemysłowców i robotników.

Urzędowi przedstawiciele dotąd nie mogą dokładnie określić, ile będzie potrzeba na dodatki państwa do emerytur robotniczych.

Według obliczeń ministra pracy Viviani'ego ilość starców, mających obecnie prawo do emerytury, wynosi 1,054,000, a więc w pierwszym roku zastosowania tego prawa rząd dopłacić by musiał 126 miljonów franków; natomiast ministerjum skarbu oblicza ilość emerytów na 2,200,000, a więc skarb musiałby płacić 272 miljony. Prezes komisji, zajmującej się tą sprawą z ramienia senatu, podnosi tę cyfrę do 282,280,000 franków, wyrażając przypuszczenie, że w normalnych warunkach z biegiem czasu udział państwa w ubezpieczeniu emerytalnem wyrazi się sumą 425 miljonów franków, obowiązkowe zaś wpłaty robotników i przemysłowców wynosić będą 400 miljonów rocznie.

To też senat stanowczo zaoponował przeciwko projektowi prawa o emeryturach robotniczych, a rząd radykalny — po 2 letniej walce ustąpił; w liście do prezesa komisji senatorów prezes ministrów wyraża zgodę na podniesienie wieku emerytów do 65 lat, zniesienie ubezpieczenia rzemieślników, sklepikarzy i t. p., zniesienia punktu, uwalniającego od składek robotników, zarabiających mniej niż półtora franka dziennie, wreszcie, co najważniejsze, na zmniejszenie udziału państwa w emeryturach.

A więc wsteczny senat, zawsze sprzeciwiający się wszystkim reformom społecznym, zmusił ministerjum Clemenceau do zniweczenia całej doniosłości projektowanego prawa, samo bowiem podniesienie wieku emerytów do lat 65 jest równoznaczne z wprowadzeniem emerytur dla trupów, bo rzadko który robotnik dociąga do tego wieku.

A więc widzimy, że republikańska Francja w ciągu 60 lat, które upłynęły od chwili złożenia parlamentowi po raz pierwszy prawa o emeryturach robotniczych, nie mogła dojść do takich choćby wyników w tej dziedzinie, jak monarchiczne Niemcy.

O wiele pomyślniejszemi wynikami pochlubić się może Australja: państwowe ubezpieczenie starości i niedołęstwa określone tam zostało prawem, uchwalonem przez parlament związkowy australijski w czerwcu r. z. Obecnie uzupełniono je nowemi przepisami. Cechą prawa australijskiego, korzystnie wyróżniającego je od projektów francuskich, jest to, że wszelkie koszty ubezpieczenia pokrywane będą na przyszłość przez państwo. Zasady główne prawa nowego (które wejdzie w życie 11 lipca r. 1909) są następujące:

Prawo przewiduje renty dwojakie: na wypadek starości i na wypadek inwalidności.

Z renty na wypadek starości mogą korzystać australijczycy po dojściu do 65 roku życia; w razie jednak wykazania niezdolności do pracy, już po ukończeniu 60 roku życia. Gubernatorowi głównemu przysługuje prawo wedle uznania zmniejszać dla kobiet wiek prekluzyjny do 60 lat.

Wypłata renty starości odbywać się będzie wtedy, gdy:

1) Ubiegający się o rentę, przebywa w Australji w czasie wykazywania swej pretensji do renty;

2) Udowodni, że mieszka w Australji od lat 25;

3) Wykaże swą prawość;

4) Nie posiada kapitału, przekraczającego 310 funtów sterlingów.

Zasadniczo nie mogą korzystać z renty: obywatele państw obcych, australijczycy, którzy naturalizowali się mniej, niż przed 3 laty; wreszcie azjaci, afrykanie i tubylcy, australijczycy z wysp Pacyfiku i Nowej Zelandji.

Co się tyczy renty na wypadek inwalidności, to ubiegający się o nią inwalidzi, odpowiadać winni warunkom następującym:

1) Kandydat musi skończyć co najmniej lat 60 i nie pobierać renty starości;

2) Musi wykazać, że osiedlił się w Australji przynajmniej przed 5 laty od chwili wniesienia pretensji o rentę, a następnie dowieść, że przyczyna, pociągająca za sobą jego niezdolność do pracy nastąpiła na miejscu w Australji;

3) Musi dowieść, że wypadku lub choroby nie spowodował przez własną winę lub umyślną chęć;

4) Musi zrzec się wszelkich pretensji o odszkodowanie do fabrykanta;

5) Musi nie posiadać majątku, przewyższającego wysokość należnej mu renty;

6) Musi nie pobierać żadnych innych zapomóg.

Wysokość emerytur ma być co roku określana przez władze w każdym poszczególnym wypadku, przyczem należy mieć na uwadze dochody i wogóle stosunki majątkowe pobierającego rentę. Renta nie może przekraczać 26 funtów sterlingów (250 rubli) rocznie; ogólny zaś dochód rentjera (renta i zarobki osobiste) nie może być wyższy nad 52 funty sterlingów (500 rubli).

Renta wypłaca się co 2 tygodnie. Mimo znaczne i uciążliwe utrudnienia, stawiane przy uzyskiwaniu emerytury w Australji, już od pierwszego rzutu oka widać, jak bardzo prawo australijskie wyprzedza projekt francuski; podczas gdy we Francji robotnik, chcąc otrzymać po 65 latach emeryturę, musi przez lat kilkadziesiąt płacić 2% swych zarobków, w Australji—nie płaci nic; podczas gdy we Francji emerytura wynosić może tylko 360 franków, a więc 133 ruble, w Australji emerytura wynosi 250 rubli, a więc prawie 2 razy tyle.

Różnica pomiędzy emeryturami australijskiemi a francuskiemi jest właśnie taka, jak między robotniczym rządem australijskim a „radykalnym" francuskim.

P. W.

O SZERZENIU KULTURY.

Od czasów najpierwotniejszych stan kultury odgrywał wielką rolę w spółżyciu gromad ludzkich. Od jej wysokości zależał dobrobyt gromady nietylko w czasach, gdy nie był zagrożony ze strony innych gromad, lecz i podczas utarczek pomiędzy niemi szala zwycięstwa przechylała się często na stronę społeczeństwa o wyższej kulturze. Kulturalniejszy Dawid często pokonywał mniej kulturalnego, choć fizycznie silniejszego Goliata.

I kultura stała się nietylko środkiem do podniesienia pewnego społeczeństwa na szczebel wyższy bez uszczerbku dla innych społeczeństw, lecz z niej powstało pozatem narzędzie do ich ujarzmienia. Działo się tak często bez uświadomienia sobie siły kultury nawet przez społeczeństwo, które dzięki swej kulturze, pokonywało bez żadnego wysiłku i bez z góry powziętego planu społeczeństwa mniej kulturalne. Kultura angielska w Stanach Zjednoczonych ani na chwilę nie robi wysiłków w celu zwalczania kultury innych narodów, tam zamieszkałych, lecz dzięki swej wyższości, siłą faktów ją zwycięża.

O ile jedno społeczeństwo stara się o coraz większe doskonalenie swej kultury, a przez to niekiedy zwycięża pośrednio kulturę niższą, niema w tem nic szkodliwego dla dobra ludzkości. Każde społeczeństwo stara się o doskonalenie się, wytwarza się mimowolne współzawodnictwo w doskonaleniu się społeczeństw, a że społeczeństwo o niższej kulturze ulega wpływowi społeczeństwa z kulturą wyższą, staje się to źródłem dobra dla obu społeczeństw. To jest bieg rzeczy najpożyteczniejszy dla dobra wszelkich gromad ludzkich.

Każde społeczeństwo doskonali się, rozwija swe właściwości, dla siebie pożyteczne, a dla innych nieszkodliwe i rozwijać je ma prawo. To prawo jest tak logiczne, jak logicznem jest uznawane już przez większość prawo każdej jednostki do doskonalenia swych właściwości indywidualnych. Tylko takie doskonalenie jest właściwe dla danej jednostki, tylko takie doskonalenie każdej jednostki jest pożądane dla dobra społeczeństwa. Wszelkie inne jest nienaturalne, dla jednostki i społeczeństwa szkodliwe. Dobry ogrodnik poznaje właściwości danej rośliny i stara się o wykorzystanie ich w celu otrzymania najlepszych jej właściwych owoców. Złym ogrodnikiem będzie ten, kto starać się będzie, by dana roślina wydawała owoce nie według swej natury, a wedle dobrej woli ogrodnika. To, co się pod tym względem tyczy oddzielnych jednostek, tyczy się również całych społeczeństw. Oddzielne społeczeństwa mogą posiadać właściwości, których doskonalenie może być pożyteczne dla nich i innych gromad ludzkich. Mogą one mieć swój sposób odczuwania, swój sposób myślenia, swój sposób wypowiadania się. I jeśli niema nawet przestępcy, w którym nie można byłoby odnaleźć skry lepszej, to niema napewno społeczeństwa, któreby nie posiadało cech pożytecznych dla dobrobytu ogólnego. Te cechy wyzyskać należy, te iskry rozdmuchiwać, te maleńkie ognie rozżarzać, tę odrobinę ciepła podnosić. O tej zasadzie czysto zapominamy. Postępujemy, jak nieuzdolniony pedagog. Zamiast zużytkowania z każdej odrobiny zdolności, jakie uczeń posiada, zamiast rozwijania tych zdolności, nieodpowiedni nauczyciel stara się swe cechy uczniowi narzucać. W ten sposób ucznia łamie, a jeśli się dobrze przyjrzymy, to przekonamy się, że łamie

i obniża również siebie: nie wysila się nad spożytkowaniem swych zdolności pedagogicznych, nie rozwija się w swej pracy. Pedagog, mający na celu ujawnienie swej wyższości nad uczniem nie przez podnoszenie go, lecz drogą obniżania wychowańca, spada na coraz niższy szczebel po drabinie pedagogicznej, coraz bardziej traci swą wartość. Całe społeczeństwo postępuje niekiedy w ten sam sposób. Mając możność wpływania nietylko na własną, lecz i na cudzą kulturę, często jeden naród zamiast rozwijania jego cech swoistych, tamuje rozwój jego kultury i w najlepszym razie narzuca mu swoją. Myśli ono niekiedy—i wybacz mu wówczas Panie, albowiem nie wie, co czyni — że stara się o dobro zależnej od niego gromady. Staje się rzecz zupełnie odmienna. Nie pozwalając na rozwój odpowiedni danego społeczeństwa, obniżając jego kulturę, obniża tem i swoją. Ma ono tylko pozornie kulturę wyższą od tej, jaką poniża. Ono nie stoi wyżej, lecz wydaje się wyżej stojącem i wydaje się takiem dlatego, że ono drugie społeczeństwo w dół spycha. Lecz kto się w spychaniu ćwiczy, ten kulturę swą zatraca, ten przez to samo już kulturalnym być przestaje, ten w przepaść się wtrąca

Niechaj kultura w ten sposób się podnosi, żeby każde społeczeństwo rozwijało we właściwy sobie sposób swe cechy, dla ogółu współobywateli, dla wszystkich wreszcie społeczeństw pożyteczne. Niechaj powstaną warunki dla wolnego rozwoju kultury na ziemi każdej. Niechaj istnieje naturalne, bez przemocy rozwijające się współzawodnictwo kultur. Niech przez to podnosi się kultura kraju naszego na coraz większe wyżyny.

Dr. M. Biron.

Z FILHARMONJI.

Dnia 17 stycznia odbył się koncert, poświęcony utworom Moniuszki i Chopina. W koncercie brali udział: p. Miączyńska śpiewaczka i p. Melcer, jako pianista, oraz orkiestra pod batutą pp. Cielewicza i Godeckiego. Na pierwszą część koncertu złożyły się utwory Moniuszki: Uwertura „Bajka," „Perły Moniuszkowskie" w układzie Z. Noskowskiego i Arja z 3-go aktu op. „Hrabina." Pierwszemi dwoma utworami dyrygował p. Cielewicz doskonale, utrzymując właściwie tempo i rytm. Arję z „Hrabiny" śpiewała p. Miączyńska, prowadził orkiestrą p. Godecki. Głos p Miączyńskiej, jakkolwiek o miłym tembrze, jest już dziś przeforsowa y, i jako taki, nie nadaje się do popisów koncertowych. Część drugą koncertu wypełniły arcydzieła Chopina, wykonane przez znakomitego wirtuoza p. Melcera; koncert E-moll był odegrany z finezją, zwłaszcza część druga „Larghetto:" kantylena brzmiała tu śpiewnie, a wszystkie ornamentacje wykonał p. M. z bajeczną powiewnością. Odegraniem „Berceuse" i poloneza As-dur p. Melcer wprowadził publiczność w entuzjazm, która oklaskami zmuszała go do naddatków. Część trzecia przyniosła nam znów kompozycje Moniuszki: uwerturę do op. „Paria," „Prząśniczkę," opracowaną na orkiestrę przez I. Cielewicza, „Tańce góralskie" z op. „Halka," „Pieśń wieczorną" i „Anioła dziecinę." Orkiestra łatwe te rzeczy grała zadawalniająco.

Wacław Krasiński.

Z TEATRU.

SMOCZE GNIAZDO — sztuka w 4 aktach z epilogiem Adolfa Nowaczyńskiego. (Teatr Wielki).

„Smocze Gniazdo" — to na szeroką skalę widowisko obyczajowo historyczne. Daje przepych barwny; tem pochlebia wzrokowi. Prócz tego nasza przeszłość powstaje w tej sztuce w pewnych szczegółach tła, środowiska, a nawet indywiduów. Kontrast brawury dawnych czasów z epoką współczesną, szarą, anemiczną, tęskniącą do wytwornego, lecz łagodnego gestu jest tak uderzający, że budzi się tęsknota do owych ludzi, kipiących od nadmiaru sił. Królewięta polscy, ci butni indywidualiści, o nadmiernie wybujałych, szalejących, anarchistycznych apetytach i ambicjach na razie mogą nawet olśniewać. Lecz po chwili refleksji widzi się, że wszyscy ci dumni magnaci i ich piekielne żony to gromada szalejących żaków. Wszyscy oni mają na tęgich barach główki pigmejów i zlewają swą bujność – w bagienko.

Ani w Stadnickim ani w nikim innym nie dał Nowaczyński psychicznie ciekawego problematu. Stadnicki to zlepek hajdamaki, aktora, pyszałka i warchoła, sprytnego w języku, lecz nierozumnego. Jak inni tak i on jest tylko zaślepioną ofiarę chaotycznego temperamentu i burzycielskiego instynktu. Jedynym momentem naprawdę imponującym jest kiedy uwięziona przez Stadnickiego Opalińska nie chce się ukorzyć przed Stadnicką, pomimo że giną jej blizcy.

Inne sceny są tylko zazwyczaj polem do rozwinięcia przepychu dekoracyjnego i okazania brawury staropolskiej, która będąc wspaniałą w linji i geście, była zarazem bezprzykładnie szalonem marnowaniem sił i doprowadziła do straszliwych katastrof.

Leon Choromański.

KRONIKA.

„Riecz" w szeregu przeglądów r. 1908 zamieszcza statystykę wydanych i wykonanych wyroków śmierci. W r. z. w państwie wyroków śmierci, według danych gazet, wynosi 1,959. Z liczby tej po 150 wyroków przypada na Warszawę i Kijów; po 100 z górą na Rygę i Jekaterynosław; 50 na Odesę, Moskwę, Charków Jelizawetgrad; 40 na Petersburg, 25 na Perm, Wilno, Chersoń, Tyflis i t. d.

Według miesięcy liczby wykonanych wyroków układają się w sposób następujący: W styczniu 53, w lutym 56, w marcu 57, w kwietniu 49, w maju 81, w czerwcu 54, w lipcu 50, w sierpniu 88, we wrześniu 60, w październiku 53, w listopadzie 82 i w grudniu 119.

Kary prasowe. Według informacji urzędowych w r. z. zawieszono w całem państwie rosyjskiem 73 wydawnictwa perjodyczne. Ogólna suma grzywien, na jakie zostały skazane pisma, wynosiła: w Petersburgu: 23,000, w Moskwie 24,000, w Kijowie 3,950.

— P. Akajomow podaje w „Warsz. Dniew." zestawienie statystyczne zamachów, dokonanych w ciągu roku ubiegłego i poprzednich. W ciągu roku zeszłego zabito: dwóch żołnierzy i 4 policjantów, raniono jednego żołnierza i 6 policjantów, gdy w roku 1906 liczba ranionych i zabitych wynosiła 179, w r. 1907—58. Ogółem w ciągu trzech ostatnich było zabitych i ranionych w Warszawie 250 osób. Najwięcej ofiar poniosła policja warszawska, z której kadrów ubyło 102 osób zabitych i 144 ranionych. W roku ubiegłym zdarzył się jeden tylko wypadek napadu na sklep monopolowy. W r. 1907 było ich 149. Jedynie w rzucaniu bomb statystyka wykazuje słabszą redukcję. W roku 1906 było ich 10 z 69 ofiarami, w r. 1907 21 z 17 ofiarami i w r. 1908 17 z 27 ofiarami. Przyczyną dużej ilości wybuchów bomb było to, że stały się one uarzędziem agitatorów, operujących, w sferze stosunków szewskich i krawieckich.

— Policji lubelskiej udało się wykryć szajkę bandycką, która czas dłuższy operowała w lubelskiem najpierw pod przew dnictwem Lisa, który zginął pod Sławinkiem, a następnie innych hersztów. Banda składała się blizko z trzydziestu ludzi, włościan z okolicznych wiosek, oraz mieszczan z Kurowa; niektórzy z bandytów są dość zamożni; posiadają bowiem od 15 do 40 morgów gruntu. Bandyci byli uzbrojeni przeważnie w browingi i karabiny wojskowe, skradzione żołnierzom. We wsi Bałłogi pod Kurowem wykryto cały arsenał bandycki. Broń przechowywał zamożny włościanin Michał Kowalik. Ogółem banda dokonała do 100-u napadów, oraz kilkanaście zabójstw. W ziemi radomskiej dostała się też w ręce policji część dobrze zorganizowanej szajki rabusiów, która oddawna napadała na podróżnych po szosach.

Ostatnich napadów dokonała banda w dniu 12-ym b. m. pod Białobrzegami na dwa omnibusy z podróżnemi. Bandyci, widocznie dobrze poinformowani o zamożności każdego z podróżnych, wybierali tylko tych, którzy posiadali większą przy sobie gotówkę. Złupili około 2,000 rb. Gdy jeden z podróżnych, kupiec z Białobrzeg, Mendel Grunbaum sięgnął do kieszeni po rewolwer, w tej chwili jeden z bandytów strzelił i Grunbaum padł trupem. Aresztowano dotąd 9-ciu współuczestników bandy. Wszyscy są to żydzi.

— Odbył się w Warszawie Zjazd rabinów z całego Królestwa. Zjazd rozdzielił p acę między kilka komisji, z których największe zainteresowanie wywołała „komisja wychowawcza". W komisji tej rabin z Radzymina żądał, aby wystarano się u rządu o pozwolenie na konfiskatę wszelkich książek, które „źle oddziaływają na mł dzież żydowską i są szkodl we dla religii żydowskiej". Gdy większość komisji orzekła, że takiego prawa nie można będzie uzyskać, a przeto nie warto się starać,—rabin radzymiński opuścił zebranie. Inny rabin żądał, ażeby wystarano się u rządu o nieprzyjmowanie wcale dzieci żydowskich do szkół, ponieważ to „odciąga te dzieci od życia religijnego". Gdy rabin kaliski zawołał: „Córy żydowskie powinny się kształcić w szkołach żydowskich", pozostali rabini zaczęli krzyczeć i głośno protestować, twierdząc, że kobiety nie powinny się wcale uczyć. Przewodniczący tej komisyi postawił wniosek, ażeby we wszystkich miastach zakładano wyższe uczelnie talmudyczne, bezpłatne, t. zw. „Jeszyboty", na wzór takiejże instytucji, działającej w Górze Kalwarji. Instytucje takie utrzymywać powinni bogaci żydzi. Dalej proponowano, aby w każdem mieście był komitet, który będzie zważał na religijność terminatorów rzemieślniczych.

Na następnem zebraniu zajęto się znowu „sprawą konfiskowania książek", aczkolwiek komisja większością głosów odrzuciła ten wniosek rabina radzymińskiego. Na zebraniu plenarnem rabini wołali, że nawet. n e mając pewności, czy rząd zatwierdzi taką uchwałę, należy ją powziąć. Pomimo opozycji, która dowodziła, że w czasach wprowadzenia konstytucji i wolności prasy rząd nie da takiej władzy rabinom, uchwalono,—jak pisze „Hajnt" d słownie—starać się u rządu, ażeby rabini mieli prawo ogłaszania zakazu (indeksu) książek, broszur i innych druków, zawierająccych „pornografię przeciw religji (sic!) i rządowi".

Jeden z rabinów postawił wniosek nieprzyjęty, aby wobec tego, że wiele żydowskich towarzystw dobroczynnych urządza obecnie koncerty, po których odbywają się tańce „mężczyzn z kobietami"—starać się, ażeby przy zatwierdzeniu ustawy towarzystw zamieszczono warunek, iż na urządzenie koncertu potrzebne jest pozwolenie rabina.

Z okazji Nowego Roku st. st. zjazd wysłał depesze do prezesa ministrów, Stołypina, do pomocnika gen.-gubernatora warszawskiego, Podgorodnikowa i do oberpolicmajstra warszawskiego, który zaraz odesłał odpowiedź, odczytaną na zjeździe. Następnie rabini każdej gubernji posłali depesze do swych gubernatorów.

ZMARLI.

Bełcikowski Adam wybitny krytyk i historyk literatuyry polskiej profesor w b. Szkole Głównej i w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Florjan Łagowski zasłużony pedagog i autor wielu prac z dziedz ny szkolnictwa i dziejów literatury.

Wł. Nebring jeden z najpoważndniejszych badaczy literatury, profesor historji literatury polskiej w Uniwersytecie Wrocławskim.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. *St. M., ul. Łucka.* Nie zamieścimy, bo już daliśmy recenzję. Ale niech Pan pisze inne rzeczy.

„CZYSTOŚĆ" Redakcja Tygodnika „Czystość" została przeniesiona do nowego lokalu na ul. **Zgoda № 11,** który będzie również siedzibą organizującego się Polskiego Towarzystwa Etycznego „Czystość." Nr. telefonu 78-65.

Redaktor i wydawca *Władysław Gacki.* Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.